

## Bronisław Edward Sydow (1886-1952).

### Wspomnienie

---

Anna Sylwia Sydow

W maju minęło 60 lat od owego nieszczęsnego czwartku, gdy mój ojciec, Bronisław Edward Sydow, zmarł na pooperacyjną uremię w klinice Dzieciątka Jezus w Warszawie. Ojciec zwykł mówić, że nie dożyje sędziwego wieku; myśl tę czy przecucie żywił – być może – w związku z wczesną śmiercią mego dziadka, Józefa Sydowa, który zmarł, gdy ojciec miał zaledwie 12 lat. Zdarzyło się to w wigilię Bożego Narodzenia, toteż Gwiazdka była zawsze bardzo smutna w naszym domu, gdzie nastrój ojca udzielał się zwykle wszystkim w jego otoczeniu. Nie lubię czwartków – nawet po tylu latach od śmierci mego ojca, 29 maja 1952 roku. Nasza matka, Irena Sydow, która była u jego boku niemal bez przerwy od operacji i nagłego zwrotu spraw na gorsze, zadzwoniła po północy, by polecić memu 18-letniemu bratu Januszowi i mnie, 13-letniej, abyśmy wsiedli do pierwszej rannej kolejki EKD z Milanówka do Warszawy. Ton głosu matki i garść szczegółów na temat stanu ojca nie zapowiadały niczego dobrego.

Nasz zwykle łagodny i nieskomplikowany pies był rozzdzierająco przez całą noc i nie sposób go było uspokoić. W drodze do Warszawy w wagonie EKD miły młody wiolonczelista z orkiestry Filharmonii podszedł do mnie, pytając z serdeczną troską o zdrowie taty. Nie byłam w stanie sensownie mu odpowiedzieć ani przestać płakać. Matka czekała na nas przed wejściem do szpitala na ul. Oczerki. Po gorączkowym majaczeniu przez większość nocy ojciec zmarł we śnie nad ranem. Miał tylko 66 lat. Ojciec chciał być spopielony, nie życzył sobie pogrzebu ani grobu. Z nieznaną przyczyną jego wola w tej sprawie została zignorowana.

Jego śmierć była zaskoczeniem dla wszystkich, którzy go znali. Fizycznie i w każdym innym sensie ojciec wydawał się niezniszczalny. Nigdy się na nic nie skarżył, unikał lekarzy i konwencjonalnej medycyny z uporem godnym lepszej sprawy. W ostatnim roku życia próbował niechętnie homeopatii, gdy pojawiły się problemy. Pierwszy poważny kontakt z medycyną i chirurgią od odległych czasów nowojorskich okazał się ostatnim i najwyraźniej nie wyszedł mu na korzyść.

Ojciec był prawdziwym romantykiem. Mimo niezwyklego „oblatania” ze światem XX wieku należał w znacznej mierze do ubiegłego stulecia. Jego umiłowanie Chopina zrodziło się też z tej predylekcji. Towarzyski i charyzmatyczny, ze swą niespożytą energią i poczuciem humoru, wydawał się wiecznym optymistą. Był w nim wszakże ogromny smutek, jakby przejmował się do głębi cierpieniami, chorobą i przedwczesną śmiercią Chopina.

Nad kominkiem w jego pokoju wisiał obraz Feliksa Michała Wygrzywałskiego ze smutną procesją rozpaczliwych figur w długich, niczym całuny, mrocznych szatach, na tle mglistego deszczowego pejzażu. Nie znam

tytułu tego malowidła, ale wiązaliśmy tę wizję z marszem żałobnym Chopina, którego złota w tonie maska pośmiertna wisiała na sąsiedniej ścianie.

W podróżach ojca po świecie, zwłaszcza gdy w czasie I wojny światowej dotarł do Santiago de Chile i zaprzyjaźnił się w dziadkiem Anity Domeyko (de Salazar), która była wówczas nastolatką, wątek romantyzmu stał się specjalnie mu bliski. Przyjaźń z rodziną Ignacego Domeyki, który znał swego czasu Mickiewicza, nie była przypadkowa. B. E. Sydow odnalazł swoje *milieu*, czuł się niezwykle swojsko w epoce Wielkiej Emigracji. Ojciec żył Chopinem, a jego zainteresowanie i wiedza były w równej mierze akademickie, jak emocjonalne. W muzykologię wkroczył – podobnie jak we wszystko inne, co znał – drogą własnych wysiłków i zainteresowań; opanował tę dziedzinę z wyjątkową pasją. Poznanie i przedstawienie życia i twórczości Fryderyka Chopina stało się dlań misją naukowca i pisarza.

Byłam jego ostatnim (obecnie jedynym pozostałym przy życiu) dzieckiem, jedyną córką po trzech synach z dwóch małżeństw. Uważał to za szczęśliwą niespodziankę i byliśmy sobie szczególnie bliscy, być może dlatego, że za bardzo męską, zdecydowaną fasadą tego człowieka kryła się niezwykła wrażliwość i delikatność. Wojna, wynikłe z niej komplikacje i wielorakie trudności w życiu naszej rodziny oraz w jego własnej egzystencji nie powstrzymały go od upartej, zwykle nocnej pracy nad przyszłymi książkami. Chopin był panaceum i odskocznią od nierzadko okrutnej rzeczywistości okupacyjnej.

Był mi ojcem i matką, domem i jedyną przystanią bez lęku w niepojętej codzienności wojny. W niedzielę jeździł zwykle do mojej matki, gdziekolwiek się akurat ukrywała. Nie mógł nigdy zarobić dosyć na życie rodziny; praca urzędnika w warszawskiej fabryce marmolady zapewniała nam jedynie nieograniczoną ilość tego produktu uzyskiwanego chyba z buraków i przez nas wszystkich zniechęconego, choć częsty głód nie pozwalał na wybredność. Praca ta jednak pozostawiała mu względną anonimowość: musiał unikać eksponowanej aktywności, by pozostać przy życiu.

Mówił mi wiele i często o własnych problemach i sprawach, których często nie rozumiałam, ale zawsze słuchałam go uważnie. W różnych smutnych i zatrwających momentach wyciągał mnie z łóżka na nocne spacerunki pod rozgwieżdżonym niebem. Zaznajamiał z nazwami gwiazd i planet, nauczył rozpoznawania konstelacji i opowiadał o meteorach i kometach. Nigdy tych lekcji i spacerów nie zapomniałam.

Wielki romans chopinowski w życiu Bronisława Edwarda Sydowa zaczął się stosunkowo wcześnie. Nie miał on jeszcze chyba 30 lat, gdy opublikował pierwsze artykuły o Chopinie i jego muzyce przebywając w Ameryce Południowej. Jeszcze przed pierwszą wojną światową wyjechał wraz z bratem, Marianem, do Nowego Jorku, jednak powiodło mu się tam nienajlepiej. Wyruszył więc na kontynent południowoamerykański, gdzie po kilkumiesięcznych wędrówkach z grupami Indian przez różne kraje, m.in. Boliwię, Paragwaj, Urugwaj, Peru, dotarł do stolicy Chile, gdzie pozostał do końca wojny.

Najpierw jednakże nastąpiło spotkanie z niezwykłymi realiami Nowego Świata w metropolii nowojorskiej. Wspominając po latach ten okres, ojciec chwalił sobie zwłaszcza darmowe bilety na różne koncerty, które otrzymywał wraz z innymi zainteresowanymi robotnikami w fabryce broni czy amunicji, gdzie znalazł zatrudnienie. Jego rola polegała na podnoszeniu wraz z siedmioma mężczyznami ciężkich skrzyń z gotowymi produktami tego przedsiębiorstwa.

Ojciec nie cierpiał Coca Coli i nie pojmował, co w tym popularnym napoju Amerykanie znajdowali atrakcyjnego. Popularna dieta niekoniecznie zgadzała się z europejskim gustem, ale nie miał z tym problemu, dopóki zarabiał. Niefortunnie, któregoś dnia jeden z jego siedmiu współpracowników nie wziął na siebie przypadającego mu w udziale, proporcjonalnego ciężaru i niespodziewanie ojciec wyładował w szpitalu z masywną rupturą. Pracodawca zapłacił rachunek za operację i krótki pobyt w klinice, po czym ojciec wyładował bez grosza przy duszy na wysokim piętrze kamienicy bez windy, gdzie wynajmował niewielki pokój.

Głodny i bez perspektyw, skontaktował się ze swym bogatym amerykańskim wujem, który przyjechał pod czynszową kamienicę bratanka wspaniałym, lsniącym samochodem. Stęskając i sapiąc, wdrapał się na poddasze ojca i oceniwszy sytuację dumnie i bez słowa wręczył mu dolara. Histeryczny atak śmiechu obezwładnił ojca na wiele minut i nieledwie pozrywał mu świeże i bolesne jeszcze szwy. Kiedy jednak ojciec w końcu się opanował i uspokoił, poczuł – pomimo głodu i słabości – niezwykle przyływ energii. Wyprawił się więc na miasto w poszukiwaniu pracy. Po długich wędrówkach dotarł do hotelu Ritza w centrum Manhattanu i bez trudu otrzymał pracę w kuchni hotelowej. Pierwszego dnia, prawdopodobnie na jednym z pierwszych zakrętów korytarza, stos kilkudziesięciu czystych talerzy wysunął mu się z rąk i zamienił w stertę potłuczonej porcelany. Świadom, że oznacza to koniec zatrudnienia, znalazł ulgę i odprężenie w tej sytuacji w sobie tylko znany sposób. Stał nad swym dziełem zniszczenia i przeklinał bez powtórek we wszystkich (wielu) znanych sobie językach. *Maitre d'hôtel* przerwał tyradę ojca, kładąc mu rękę na ramieniu i pytając, czy zna coś więcej oprócz przekleństw w tych językach. Twierdząca odpowiedź zamieniła B. E. Sydowa z niezdarne go pomocnika przy zmywaniu naczyń w eleganckiego stewarda do tłumaczeń i kontaktów z międzynarodową klientelą Ritza. Wśród nich znalazł się pewnego dnia Ignacy Paderewski, będący na tournée amerykańskim. Niezłe w porównaniu z poprzednią pracą zarobki pozwoliły ojcu przygotować się do podróży po Ameryce Południowej.

W czasie II wojny światowej, po nagłym, przymusowym opuszczeniu naszego mieszkania przy ul. Chocimskiej 3, które znalazło się na terenie stworzonej przez okupanta tzw. niemieckiej dzielnicy, ojciec wraz z moim starszym bratem, Januszem, i mną przeprowadził się do dwupokojowego lokum w willi w Milanówku pod Warszawą. Później dołączyli do nas dwaj synowie ojca z jego pierwszego małżeństwa, z których Andrzej był mu szczególnie bliski. Matka – pod przybranym i udokumentowanym fałszywą kennkartą nazwiskiem – ukrywała się oddzielnie w różnych podmiejskich miejscowościach. Wcześniej B. E. Sydow był aresztowany w początkach 1941 roku w wyniku denuncjacji mojej niańki, która była volksdeutschką, o czym rodzice – do czasu zadenuncjowania mojej matki, Ireny (*de domo* Fenigsztejn) w końcu tegoż roku – nie mieli najmniejszego pojęcia.

Ojciec był od 1933 roku wicekonsulem Paragwaju w Warszawie. Od 1940 roku, po wyjeździe konsula, Maksymiliana Stamińskiego, który, będąc Żydem, zdecydował się na emigrację, B. E. Sydow pełnił *de facto* funkcje i obowiązki konsula. Ta pozycja pozwoliła mu na wydawanie licznych wiz wyjazdowych ludziom, których jedynym przeznaczeniem miały być getta i obozy zagłady. Jego działania były oczywistym pogwałceniem polityki zarządzeń niemieckich.

Po aresztowaniu i krótkim pobycie w Alei Szucha ojciec przeżył dziewięć miesięcy w więzieniu na Pawiaku, skąd miał być wywieziony do Oświęcimia. Spisek uknuty przez polskiego lekarza więziennego, doktora Wacińskiego, zmylił komisję niemiecką w sprawie stanu zdrowia B. E. Sydowa. Pozwoliło to na jego warunkowe zwolnienie i powrót do domu w końcu 1941 roku z rzekomym tyfusem.

Milanówek, przedwojenne „letnisko”, stał się w okresie okupacji hitlerowskiej niezwykle ożywionym miejscem wszelkiego rodzaju działalności podziemnej i nielegalnej. Pośród wielu niedozwolonych i zagrożonych więzieniem, egzekucją, itp. akcji i poczynąń znalazły się oczywiście wydarzenia kulturalne, w szczególności tajne koncerty chopinowskie organizowane w mieszkaniach zaangażowanych patriotycznie melomanów. Ojciec, być może osobiście związany z przygotowaniem tych sekretnych imprez, zabierał mnie ze sobą na te niezwykle spotkania z muzyką. Pamiętam młodego pianistę Jana Ekiera. Niezwykłą popularnością cieszyła się także słynna wykonawczyni utworów Chopina, Zofia Rabcewiczowa (zmarła w Milanówku, 3 września 1947 roku). Ta piękna, leciwa dama była pamiętna nie tylko z racji swych znakomitych interpretacji, lecz również dla niezwyklej elegancji jej srebrnych, purpurowych i fioletowych długich toalet.

Owe tajne koncerty były moim pierwszym kontaktem z wykonywaną na żywo muzyką Chopina. Pamiętam ich jedyną w swoim rodzaju atmosferę i wyczuwalne – nawet dla cztero- czy pięcioletniego dziecka – napięcie i urok tych wydarzeń. Ci ludzie ryzykowali życie, by nie poddać się woli okupanta. Doskonale wyczuwało się patos chwili, stoicyzm i dumę słuchaczy z ich polskości, której muzyka Chopina stanowiła najlepszy wyraz.

Ojciec był dobrze znany i lubiany w tym środowisku. Swoistym uwieńczeniem jego okupacyjnej działalności na terenie Milanówka było ukrycie po Powstaniu Warszawskim serca Chopina w siedzibie arcybiskupa Szlagowskiego, skąd powróciło ono zaraz po wojnie na dawne miejsce do kościoła Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

## II

Istnieje w każdej prawie rodzinie, w każdym niemal mieszkaniu jedna lub więcej szuflad z relikdami przeszłości, rzeczami zbędnymi, ale niewyrzuconymi w porę, być może jeszcze do użycia w jakimś mitycznym czasie. W naszym milanowskim mieszkaniu były takie dwie niewielkie szuflady. Znajdowały się poniżej najbardziej lubianych i cenionych przez ojca książek w oszklonej antycznej szafie. Te dwie szuflady w pokoju ojca były pełne igieł gramofonowych. Nie mam pojęcia, czy były one nowe, czy zużyte, kiedy nasz piękny gramofon marki „His Master`s Voice” przestał być używany.

Rodzice mieli ten aparat rozrywki od czasów przedwojennych wraz z bogatym zbiorem ulubionych nagrań na płytach z czarującym foksterierem. Była to w większości muzyka poważna, a także sporo dobrego jazzu oraz trochę nagrań z disneyowskich filmów w polskim muzycznym dubbingu. Wyciszona od czasu nagłego odejścia matki i naszej wyprowadzki z Warszawy, ożywiałam się przy tej muzyce i tańczyłam zapamiętałe, nawet przy Chopinie, co ojciec tolerował z uśmiechem.

Tuż po zakończeniu wojny, w czasie dość srożej jeszcze zimy, zanim ruch na linii kolejowej zaczął wracać z wolna do normy, ojciec zwykł wędrować torami do Warszawy piechotą w obydwie strony, co wydaje się wręcz nieprawdopodobnym wyczynem; dla niego wszakże było to możliwe i pokonał ten dystans parokrotnie. Z jakiejś dziwnej przyczyny chodziły przed powstaniem słuchy, że Warszawa ocaleje, a rejony podmiejskie ulegną zagładzie. Powodowany w jakiejś mierze wiarą w tę pogłoskę, ojciec pozostawił wiele cennych dlań obiektów sztuki, jak również wydań książkowych oraz ulubionych płyt u kilku zaprzyjaźnionych rodzin zamieszkałych w stolicy.

Tuż po wyzwoleniu chodził po opustoszałej, pełnej gruzów zimowej Warszawie i poszukiwał śladów swych precjozów. Miał trochę szczęścia, musiał być prawdopodobnie jedynym poszukiwaczem tego typu, bowiem któregoś

wieczora przyniósł sporo brudnych, ale ocalałych jakimś cudem białych kruków ze swej kolekcji. Innego pamiętnego wieczora ojciec wrócił objuczony naszymi najulubieńszymi płytami. Był skonany po wielu godzinach dźwigania i marszu oblodzonymi torami. Nie zdjął nawet palta i pomagaliśmy mu w ściągnięciu ciężkich butów. Ale był rozpromieniony, napięty w radosnym oczekiwaniu. Przysiedliśmy całą rodziną wokół naszego lśniącego, pięknego gramofonu, który niewiele miał do zagrania w końcowym etapie wojny. Z zapartym tchem oczekiwaliśmy znajomych dźwięków płyty wybranej przez ojca. Troskliwie zamontował nową igłę, zakręcił energicznie korbą. Płyta zawirowała, ale zamiast muzyki w pokoju rozległy się jedynie dziwne, widmowe trzaski. Pozornie ocalałe cudownie płyty były zrujnowane przez bliskość intensywnego ognia; zwężone, zniekształcone w pożarze rowki pozwoliły igle na niemal normalny ruch, ale sama muzyka padła ofiarą wojny wraz z ogromną częścią miasta i ludzi. Wśród nich znalazł się mój najstarszy i najmilszy brat, Andrzej, który zginął na Czerniakowie, walcząc w baonie „Zośka”.

### III

Migawka z naszych pierwszych letnich wakacji. Był rok 1945. Podróżowaliśmy w stronę Bałtyku, w czwórkę, niesłychanie długo, z przesiadkami z częściowo tylko funkcjonujących linii kolejowych na autobusy i co tylko było możliwe. W końcowym etapie osiągnęliśmy wybrzeże w Kołobrzegu. Staliśmy tam otoczeni walizkami, w oczekiwaniu na kolejny autobus przy ulicy, która pięła się na prawo pomiędzy leżącymi w gruzach po obydwu jej stronach domami.

Spójrzcie na morze – powiedział lakonicznie ojciec. Zabrzmiało to wręcz abstrakcyjnie, purenonsensowo, ale odwróciliśmy wzrok we wskazanym przezeń kierunku. W górze ulicy, która, jak się okazało, pięła się ku plaży, objawił się naszym zmęczonym oczom nieprawdopodobnie lazorowy trójkąt Bałtyku w świetle jaskrawo słonecznego popołudnia...

Moje prawdziwe spotkanie z morzem nastąpiło, gdy dotarliśmy do mety w Jelitkowie koło Sopotu. Z naszego wynajętego tam domu słyszeliśmy przez cały czas uderzenia fal, nie mówiąc już o gwałtownym sztormie, kiedy fale wspięły się przez wydmy niemal do drzwi domostwa pod koniec naszego pobytu.

W tamto późne popołudnie ojciec i ja znaleźliśmy się oko w oko z Bałtykiem w ciągu kilku zaledwie minut, sami na opustoszałej białej plaży. On, jak zwykle, w roli milczącego pośrednika w spotkaniu z pięknem natury czy muzyki, nie oczekiwał ode mnie żadnych komentarzy. Przysiadł tylko przy mnie blisko i wpatrywaliśmy się w nieogarnioną dal razem. Byłam niemal w szoku, niezdolna do czegokolwiek oprócz patrzenia wokół i wsłuchiwania się w muzykę natury. Nie wiem, kiedy ojciec – z właściwym sobie taktem – pozostawił mnie samą na tej plaży. Gdy zapadła dokoła ciemność, powrócił. Podniósł mnie, ciągle jeszcze zapatrzoną w morze, i zaniósł w ramionach, jak piórko, do domu przy plaży.

Ten człowiek wydawał się mocarny, zawsze pełen energii i wigoru, jak nikt inny. Nie był nawet specjalnie wysoki ani potężnej budowy, ale – niczym upersonifikowane *perpetuum mobile* – był zdolny do niezwykłych rzeczy na co dzień. Pływał kilometrami tego powojennego lata aż po linię horyzontu.

W parę dni po przyjeździe do Jelitkowa wybraliśmy się we dwójkę do katedry w Oliwie. Przy wejściu uderzyła nas niespodziewanie muzyka Bacha – o ile pamiętam była to *Tocatta* i *Fuga d-moll*. Wspaniała akustyka katedry i potęga dźwięku znakomitych organów podziałała na mnie jak spotkanie z morzem. W pozostałych

niespełna siedmiu latach jego życia odwiedzaliśmy wspólnie wiele różnych kościołów znanych i mniej znanych, w poszukiwaniu muzyki, gdziekolwiek znajdowaliśmy się razem.

W lecie 1946 roku z inicjatywy ojca i w dużej mierze przy jego organizacyjnym udziale odbył się w Dusznikach-Zdroju pierwszy Festiwal Chopinowski. W atmosferze typowej dla powojennej, odradzającej się kultury w bogatym festiwalu uczestniczyło wiele osobistości polskiego świata intelektualnego, ze środowiska literatów z Jarosławem Iwaszkiewiczem na czele, jak również twórców z różnych dziedzin sztuki i przede wszystkim – muzyki. Pianista Henryk Sztompka królował na estradzie. Była tam też słynna chopinistka, leciwa już Zofia Rabcewiczowa. Atmosfera celebracji chopinowskiej przepoiła uzdrowisko. Różnorakie, drobne i większe uroczystości wiodły uczestników festiwalu szlakami Chopina, który bywał w Dusznikach w daremnym wysiłku poszukiwania ulgi dla swych chorych płuc.

Ja sama miałam okazję uczestniczyć w festiwalu w następnym roku. Poznałam wtedy przez ojca wielu słynnych ludzi, choć byłam za młoda, by zdawać sobie z tego w pełni sprawę. Moją specjalnością stało się wręczanie kwiatów wykonawcom; pełniłam także inne, również z kwiatami związane funkcje. Wieczorami kolorowe fontanny jako specjalne widowisko były wysoko pod nocnym niebem tęczągamą odcieni. Od owego lata Festiwal Chopinowski w Dusznikach Zdroju stał się corocznym wydarzeniem.

#### IV

Nasz dom był miejscem małych przyjęć i wizyt różnych interesujących ludzi z polskiego i międzynarodowego środowiska muzycznego. Z tego ostatniego z jakiejś przyczyny zachowała się w mej pamięci wizyta młodego austriackiego pianisty nazwiskiem Alexander Jenner. Ojciec lubił młodych wykonawców i po koncercie Jennera wróżył mu obiecującą przyszłość. Nie wiem, jak przebiegła jego kariera, ale niedawno usłyszałam przypadkiem doskonale nagranie tego pianisty w klasycznej rozgłośni nowojorskiej WQXR, tak więc nie zawiódł oczekiwań. Z innych ciekawych wizyt nie sposób zapomnieć spotkań z Arturem Rubinsteinem, którego ojciec znał od czasów jego tournée w Ameryce Południowej podczas I wojny światowej

Rubinstein zjawił się u nas na obiedzie, skoro tylko zaczął znowu koncertować w Polsce po wojnie. Zaśmiewali się z ojcem, wspominając jakieś dzielone dawno temu wydarzenia. Byli niemal w tym samym wieku (Rubinstein o rok młodszy od Sydowa), obydwaj pełni wigoru, *joie de vivre* i anegdot. Śmieliśmy się wraz z nimi do rozpuku; ich radość ze spotkania była zaraźliwa i nie do zapomnienia. Ojciec opisywał płomienną czuprynę młodego Artura, gdy obaj mieli około trzydziestu lat w czasie chilijskich spotkań.

Największe wrażenie w mej pamięci ze swej wizyty u nas pozostawił wszakże angielski muzykolog i chopinolog, Arthur Hedley. Hedley, który rozpoczął pracę nad wydaniem *Selected Correspondence* współcześnie z pracą ojca nad polskim oryginałem, był synem Brytyjczyka i Francuzki. Lingwistycznie utalentowany, nauczył się z miłości do Chopina całkiem niezłego polskiego i nasze spotkania były dlań szansą na życzliwy test jego umiejętności w tej dziedzinie. Miał wówczas nie więcej niż 45 lat, ale wydawał się sporo starszy, dopóki nie stracił powagi w ożywionej konwersacji. Miał typowo brytyjską powierzchowność: był niezwykle szczupły, z niemal ascetyczną twarzą i pełnymi wyrazu niebieskimi oczami błyszczącymi inteligencją zza delikatnej złotej ramki okularów. W dniu jego wizyty padał deszcz i Hedley był odziany stosownie do aury w beżowy, nieprzemakalny płaszcz i kapelusz typu trilby. Z jakiejś przyczyny przywoził na myśl roztargnionego wujka polującego z siatką na

motyle. Ten wizerunek znikał natychmiast, gdy zaczynała się profesjonalna dyskusja o sprawach chopinowskich. Z drugiej strony powaga ustępowała łatwo, gdy jego niezwykły dar elokwencji w połączeniu ze wspianym poczuciem humoru znajdował swój wyraz w rozmowie. Do dziś dnia wspominam, jak relacjonował w jedynej w swoim rodzaju „mieszance” polskiego z francuskimi i angielskimi wstawkami pierwotną wersję filmu *Mucha*. Mimo tragicznej fabuły pokładaliśmy się wraz z nim ze śmiechu..

Ze szczerym smutkiem myślę o jego późniejszym, dramatycznym zaangażowaniu w dysputę na temat tzw. apokryfów listów Chopina do Delfiny Potockiej – dobrych parę lat po śmierci B. E. Sydowa. Nagła śmierć Arthura Hedleya w roku 1969, w wieku zaledwie 63 lat, była wielką stratą dla światowej chopinologii.

## V

Większość książek B. E. Sydowa, w szczególności – polski oryginał i różnojęzyczne wersje *Korespondencji Fryderyka Chopina*, ukazała się po jego śmierci. Francuskie wydanie w tłumaczeniu ojca, angielska *Selected Correspondence* w przekładzie Hedleya, hiszpańska wersja w tłumaczeniu ojca, wreszcie japońskie, najpóźniejsze wydanie zaaranżowane przez amerykańskiego wydawcę Mc Graw Hilla – wszystkie te publikacje, o ile mi wiadomo, zbliżyły wielkiego kompozytora do czytelników na całym świecie. Rosjanie, którzy nie honorowali międzynarodowej konwencji wydawniczej i – co za tym idzie – *copyrightu*, zachowali się w mej pamięci za sprawą niezwyklego telefonu, który odebrałam pod nieobecność matki. Bardzo męski, nieznoszący sprzeciwu głos przedstawił mi się jako Wanda Wasilewska. W tamtej chwili wyglądała to niczym żart na temat mej licealnej lektury obowiązkowej. Pani Wasilewska domagała się kategorycznie kopii tomów francuskiego wydania *Korespondencji*, twierdząc stanowczo (bez sprzeciwu z mej strony), że miało to pomóc rosyjskiemu tłumaczowi w jego pracy. Nie mam pojęcia, czy matka dostarczyła żądane tomy Rosjanom. Mam co do tego wątpliwości, jak również co do ewentualnej jakości tłumaczenia, choć nie miałam okazji do ujrzenia tej edycji. Rosyjski był jednym z nielicznych języków nieznanymi ojcu, ku jego ubolewaniu. Myślę wszakże, że byłby za popularyzacją wiedzy o Chopinie w Związku Radzieckim, skąd wywodziło się tak wielu znakomitych wykonawców jego muzyki.

Pierwsza książka B. E. Sydowa, a mianowicie *Bibliografia F.F. Chopina* ukazała się jesienią 1949 roku. Kilka miesięcy później, w pamiętną sobotę, 28 października 1950 roku (soboty były wówczas dniami roboczymi), wypłacono ojcu gotówką honorarium w wysokości trzystu tysięcy złotych. Być może celowo namówiono go, by zabrał te pieniądze do domu i by złożył je w banku w poniedziałek. Wysypał dumnie z aktówki – na naszych zdumionych oczach – stos pakietów nowych, czerwonych stułotówek. W niedzielę rano przypadła mi w udziale bolesna w efekcie misja nabycia w kiosku i doręczenia ojcu gazety z hiobową wieścią o wymianie pieniędzy. Zabranie gotówki do domu kosztowało ojca dwie trzecie jego honorarium w nowych złotych.

Paradoksalnie, choć (na ile mi wiadomo) jedyne ukończone przez ojca formalne wykształcenie stanowił dyplom jakiejś szkoły handlowej na Pomorzu, on sam nie wykazywał cienia talentu czy zainteresowania we własnych sprawach i inwestycjach natury finansowej. Publikacje książek poświęconych życiu i twórczości Chopina zdawały się dlań wystarczającą nagrodą. Skromność tego człowieka, genialnego samouka zdolnego osiąść perfekcyjnie kilkanaście języków w mowie i piśmie była równie niezwykła jak jego talenty. Oprócz znajomości łaciny, greki i hebrajskiego oraz arabskiego, nie wspominając o niezliczonej liczbie znanych mu dialektów niemieckich, jego znajomość kultury iberyjskiej i hiszpańskiego nie miała sobie równej. W czasie wędrówek

po kontynencie południowo-amerykańskim nauczył się języków kilku ginących plemion indiańskich, zanim dotarł do Chile, gdzie pozostał do końca I wojny światowej. Ojciec twierdził, że hiszpański był najlepszym językiem „do myślenia”. Esperanto opanował w ciągu godziny.

#### Zakończenie

Pogrzeb ojca w kościele św. Karola Boromeusza na Powązkach został uświetniony przez niespodziane przybycie przyjaznego ojcu pianisty Tadeusza Żmudzińskiego, który zagrał marsz żałobny Chopina na tamtejszych organach. Czerwcowy upał i niezwykła duszność sprawiły, że długa i mozolna wędrówka naszej procesji żałobnej wzdłuż muru cmentarnego miała w sobie coś z *Obcego* Camusa, ze słońcem żarzącym się bezlitośnie nad naszymi głowami. Była to daleka, trudna droga do kwatery przy alei 100. Wysilek tego bolesnego marszu był przerywany jedynie rytmicznym pogwizdywaniem synka znajomej, który nie przestawał mimo upomnień matki. Zgrzana w czarnym ubraniu, pomimo rozpaczy, nie mogłam się powstrzymać od lekkiego uśmiechu pod żałobnym woalem, myśląc że ojciec doceniłby ten melodyjny przerywnik w ponurej rutynie pogrzebu.

Wróble furkotały, kąpiąc się w pyłe drogi. Gwizd wilgi wśród zieleni drzew powtarzał się rytmicznie, zwiastując deszcz.

Nowy Jork, maj 2012



Ilustracje



1. Bronisław E. Sydow, 1918 r., ze zbiorów A.S. Sydow



2. Bronisław E. Sydow jako konsul Paragwaju w Polsce, wczesne lata 30. XX w., ze zbiorów A.S. Sydow



3. Karty do gry wykonane w więzieniu na Pawiaku, 1941 r., ze zbiorów A.S. Sydow



4. Andrzej Sydow, syn Bronisława, 1944 r, przed powstaniem warszawskim, w którym zginął



5. Bronisław E. Sydow z córką Anną, 1945 r., ze zbiorów A.S. Sydow



6. Duszniki Zdrój. Uczestnicy Festiwalu Chopinowskiego, 1947 r., ze zbiorów A.S. Sydow



7. Ciechocinek. Bronisław E. Sydow z córką Anną, 1951 r., ze zbiorów A.S. Sydow